

*Jakże odwdzięczę się morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zabłąkań?
Jakże odwdzięczę się słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąka?*

Plan był prosty. Wyznaczona osoba miała wstać przed innymi, koło siódmej rano, skoczyć do sklepu po chrupiące bułki, żółty ser i mleko dla całej ekipy, i przed ósmą pognać na plażę, żeby zająć jak najlepsze miejsce, tuż nad morzem. Tak, tylko komu w czasie wakacji będzie chciało się wstać tak wcześnie? Kto poświęci kilka godzin słodkiego snu dla wygody innych? Oczywiście padło na mnie. Stanowczo za miękkie mam serducho.

Plan, planem, jednak z wykonaniem gorzej: bo jak udźwignąć trzy wielkie koce, które chcieliśmy rozłożyć? Udźwignąć może jeszcze dałabym radę, ale z niesieniem kłopot. Bo to dość nieporęczne, wielkie, wełniste i gryzie pod pachą... No, nic. Słowo się rzekło. To w końcu tylko kilka przecznic: ul. PCK – cóż za szlachetna nazwa, potem Walecznych – jeszcze lepiej! Przy torach tramwajowych ręce mi już omdlewały, a nie byłam nawet w połowie drogi. Cisnęłam koce na przystankową ławkę: miałam dosyć. Dlaczego któryś z facetów nie wstał rano?! Wzięłam kilka głębszych oddechów, ramieniem przetarłam spocone czoło i nos, z którego jak z kranu leciały słone krople i, prowadzona jedyną odświeżającą myślą, że będę pierwsza na plaży i jako pierwsza wykapię się w chłodnym jeszcze o tej porze morzu, podniosłam upiorny bagaż i ruszyłam dalej.

Po lewej minęłam miniaturowy kościółek pod wezwaniem św. Antoniego. Jakie to dziwne. Od lat spędzałam tu wakacje, dziesiątki razy przechodziłam obok niego, modliłam się nawet do tego patrona rzeczy zagubionych, a jeszcze nigdy nie byłam w środku. Obiecałam sobie solennie, że wieczorem, no, najdalej jutro, tam zajrzę. Jednak od chwalebnych myśli natychmiast oderwał mnie wielki napis nad lichą budą: Lody! Tak, to było to, czego mi było trzeba. Stałam przy okienku i zaczęłam już werbalizować zamówienie na podwójne, truskawkowe z polewą karmelową, gdy doszło do mnie, że nijak nie będę mogła ich skonsumować. No, bo jak z tym tabunem koców pod pachą? A jak dosięgnąć do kieszeni z drobnymi? Odeszłam niepokieszona, ale jednak za darmo doznałam lekkiej ulgi: ślinianki zaczęły działać i mogłam w końcu zwilżyć wyschnięte na wiór, pękające już usta. Dalej też nie było łatwo. Kocie łby zaczęły dawać mi się we znaki. Japonki spadały ze stóp, ślizgając się na rozjeżdżonych, nierównych kamieniach. Że też nie położyli tu asfaltu, albo co najmniej kostki brukowej, jak w większości nadmorskich kurortów. Ale nie! Brzeźno zachowuje swoją tradycję rybackiej wioski. Szkoda, że kosztem moich nóg...

Jeszcze tylko Pułaskiego i Miła i już zobaczyłam gładkie jak stół morze, gdzieniegdzie tylko poprzecinane białą wstążeczką piany. Lekki, ożywczy wietrzyk ślizgał się po mojej spoconej skórze, a umówione wejście na plażę numer dwadzieścia osiem uśmiechało się do mnie z daleka. Dlaczego dwudzieste ósme? Bo było dla nas optymalne, sprawdzone metodą prób i błędów przez ostatnie lata. Było najbliżej całkiem przyzwoitego baru, z całkiem przyzwoitą obsługą, nie wspominając wspaniałej klienteli, nie z lokalnymi żułami, ale niezwykłą cyganerią goszczącą letnią porą na wybrzeżu. Ciekawymi ludźmi, artystycznymi duszami, z którymi przy kuflu zimnego piwa zawsze można było o czymś interesującym lub całkiem błahym porozmawiać. Kolejną zaletą tego miejsca były przepiękne i zawsze czyste toalety, co przy spartańskich, plażowych warunkach dawało choć na chwilę możliwość pławienia się w luksusie. Sama nie wiedziałam, jak to robią, ale nigdy jeszcze nie widziałam tam nawet ziarenka piasku

na marmurowej posadzce, choć sama wносиłam ich tony na plażowych klapkach.

Wejście dwudzieste ósme wessało mnie do krainy ciepła, piasku, wydm i morza. Jednostajny szum tego ostatniego był balsamem dla uszu. Uwielbiałam tę muzykę; kołysała mnie, zniewalała, wciągała w wymaglinowany świat, jak syreni śpiew na południowych wyspach. Stałam pośrodku pustej jeszcze plaży, zakochana w tym widowisku natury, otumaniona przestrzenią, głębią koloru wody, jasnymi plamami mielizn i białymi koronkami przybijających do brzegu fal. Chyba za długo tak stałam, bo nagle usłyszałam pytanie:

- Pierwszy raz nad morzem? - *Głos całkiem niczego sobie* – pomyślałam, zanim spojrzałam na rozmówcę.
- *Przynależna reszta także niezła* – dodałam w duchu, spójrzawszy na młodego mężczyznę. Wysoki, niezłe zbudowany brunet z ognikami w oczach, ale jakimiś takimi smutnymi...
- Nie, ja tutejsza – odezwałam się w końcu – ale ten widok zawsze mnie zachwyca.
- Tak, jak mnie – odparł zapatrzony w horyzont. - *Dobrze, że w horyzont, a nie na mnie* – przemknęło szybko. Nie wyglądałam zbyt atrakcyjnie. Zlepione potem włosy gładko przylgnęły do czoła, ramiona uwalane kłaczkami mieniły się różnymi kolorami niesionych koców. Zmęczone marszem stopy puchły na różowo w powoli rozgrzewającym się piachu. Staliśmy oboje zapatrzeni w przesuwające się na horyzoncie, ledwo widoczne, zamglone sylwetki statków. Jakbyśmy oddawali hołd matce naturze; jednoczyli się modlitwą z siłami przyrody: wody, powietrza; jakbyśmy stawali się przestrzenią...

*Cóż Ci oddam za tę bliskość,
którą w takim rozniecasz bezmiarze,
jak ogniska,
jak serca w równowadze -*

- Chyba w końcu rzucę te toboły – przerwałam nagłą ciszę.
- Tak, tak – oderwał się od swoich myśli. - Dobrego dnia! - powiedział i odszedł w stronę miasta.
- *Dobrego dnia?! I tyle?! -* moja kobieca natura zaczęła się odzywać. - *A do widzenia? Może jeszcze się spotkamy?* - Naiwna! Taki facet wymykał mi się z rąk... To znaczy z rąk wymknęły mi w końcu te wszystkie niańczone pieczołowicie plody i spadły na piasek z niemym westchnieniem.
- *Spójrz na siebie! Kto normalny zaproponowałby ci kolejne spotkanie?* No, tak – sama sobie odpowiedziałam. - *A mogło być tak pięknie...* - zanuciłam pod nosem, rozkładając trzy wielkie koce tuż przy granicy przypływu.

Po krótkiej kąpieli w chłodnej, bałtyckiej wodzie, w końcu zaległam, napawając się ciszą poranka, szumem fal i rozgrzewającym się piaskiem. Przymknęłam oczy i powoli zapadałam w letarg, przynoszący odległe wspomnienia.

Mama zbierała kartki pocztowe, widokówki. Nie żeby je kupowała, ale korespondowała z rodziną rozsianą po całym świecie. A ci listy ślali... Czasem pisane maczkiem na prawie przezroczystym, delikatnym, cieniutkim i błękitnym papierze lotniczym, często tak dziwnie pachnącym... Wyobrażałam sobie, jak przechodzą z rąk do rąk, ze skrzynki pocztowej do urzędu, do samochodu, do samolotu. Jakby żyły własnym życiem, niezależnym od nadawcy i odbiorcy i docierały dopiero wtedy, gdy uznały to za stosowne. Oprócz listów rodzina wysyłała pocztówki z dalekich wypraw czy wycieczek. Kilka prostych słów, mówiących o tym, że pamiętają, że świat jest piękny. I te widoki na odwrocie! Oglądając je, można było zachłysnąć się zachodnim światem, cudami, których nie dane nam było jeszcze podziwiać.

Dostała kiedyś pocztówkę z posągiem Chrystusa z Rio de Janeiro na tle zachodzącego słońca. To było

wspaniałe zdjęcie! Zachwyciłam się nim do granic mojej dwunastoletniej wytrzymałości. Posąg tonął w mrokach, był już prawie czarny; ręce Chrystusa, rozłożone na tle niesamowitego nieba, mieniącego się wszystkimi odcieniami złota i czerwieni zapierały mi dech w piersiach. Fizycznie czułam chłód cienia i ostatni dotyk słonecznego ciepła. I ta niesłychana ostrość obrazu... Widokówka była dla mnie niemal jak święty obrazek z kościoła. Uprosiłam mamę, żeby dała mi tę kartkę. Tak to się zaczęło.

Zaczęłam kolekcjonować zachody słońca. Miałam zeszyt, do którego wklejałam wszystkie napotkane kartki, wycinki z gazet. Zeszyt rósł w oczach. Jakość zdjęć wycinanych z czasopism pozostawiała dużo do życzenia, ale od czego dziecięca wyobraźnia? Pławiłam się w tym zachodzącym słońcu przez lata. Dostałam kiedyś widokówkę od koleżanki z kolonii (już wtedy wszyscy wiedzieli o moim słonecznym hobby), ale nie byłam w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy był to zachód, czy wschód słońca... Rozpalona na różowo słoneczna tarcza, jakieś szarości, lekka mgła... - Może to zdjęcie zimowe? - myślałam. Trochę zastanawiałam się nad tym i w końcu doszłam do przekonania, że to musi być zachód słońca: żaden fotograf nie wstaje tak wcześnie, żeby zrobić zdjęcie wschodowi słońca. Naprawdę w to wierzyłam! Dopiero dziś, gdy sobie to przypominałam, zrozumiałam, w jakiej niewiedzy żyłam mając trzynaście lat.

I wtedy przyszło to lato. Moje pierwsze na plaży.

Mama pojechała do ciotki Marysi, do Rzymu. Poprzednio była u niej jeszcze przed moim urodzeniem. Był to dla niej wymarzony urlop, wyrwanie się z komunistycznej szarości dnia codziennego, dla nas trochę zamieszania w domu. Decyzja jednak została podjęta: na te dwa tygodnie przeprowadzam się do ciotki Ewy, do Brzeźna. Dla mnie było to wyzwanie, nowy świat, samodzielność... Jedynym obowiązkiem było wyprowadzanie na spacer Safiego, Ewy psa. Oczywiście chodziłam z nim na plażę. Spędzaliśmy tam całe godziny na zabawie. Safi, przeuroczy kundel o białe - rudo - czarnej sierści, skory do figli i wszelakiej radości, gdy już się wyganiał, siadał przy mnie i razem oglądaliśmy znalezione muszelki czy bursztyny. Wspólnie czekaliśmy na zachód słońca.

Napawałam się kolorami, ciepłem i nostalgią odchodzącego dnia. Do dziś, zawsze wieczorem zatrzymuję się w codziennym biegu i choć na chwilę zamykam oczy, kierując twarz ku słońcu, ciesząc się przebijającym przez powieki światłem.

Ze wspomnień wyrwała mnie hałaśliwa gromadka przyjaciół. Plecy zaczynały mi się przyrumieniać, choć wcale tego nie czułam, owiewana lekką bryzą.

- Ale cię strzaskalo! - krzyknął Marcin, kładąc się na pobliskim kocu i obsypując mnie obficie lawiną ziarenek piasku.

- Myślałam, że wcale nie przyjdziecie - złośliwie spojrzałam na zegarek. Chyba lekko przysnęłam, bo zbliżało się już południe. Zostawiłam rozkładające się na kocach bractwo i poszłam ochłodzić się do morza.

Czas nad wodą bardzo szybko płynie. Człowiek nigdy się nie nudzi, przynajmniej nie w tak doborowym towarzystwie jak nasze. Śmiechy i zabawy przeplatane kąpielami i obowiązkowymi wizytami w zaprzyjaźnionym już barze, zajęły nam cały dzień, który ukoronowaliśmy późnym obiadem z wędzonym na gorąco łososiem w roli głównej.

Kolejka do łazienki, żeby splukać z opalonego ciała resztki piasku, nikomu się nie przykrzyła. Nadal w

świetnych humorach czekaliśmy wieczoru, by odbyć mały spacer deptakiem w stronę Jelitkowa, gdzie miał się odbyć koncert lokalnej grupy szantowej.

- Chyba założę już długie spodnie, wieczorem może być zimno – mruknęła Iza, przebijając rękoma w przepastnej szafie. - Aśka, jak myślisz? - spojrzała na mnie, jakbym była wyrocznią w sprawach nie tylko mody, ale i meteorologii.

- Może być chłodno, ale nie musi – odparłam filozoficznie ze śmiechem na ustach. - A kostium bierzesz?

- zapytałam szybko, próbując wybadać plany przyjaciółki.

- Po co? Przecież nie będziemy się już kąpać – zbagatelizowała sprawę.

- No, ja nie wiem – szepnęłam pod nosem, bo czułam, że wieczór może jeszcze nas wszystkich zaskoczyć. Wyciągnęłam moją ulubioną, długą sukienkę i z czułością pogłaskałam niegniotący się materiał. Była idealna na letni spacer: przewiewna, z dużym, choć „bezpiecznym” dekoltem, odsłaniająca ramiona i świeżą opalenizną pleców. Dobrze się w niej czułam, mając jednocześnie świadomość atrakcyjności wyglądu. Marcin aż gwizdnął przeciągle, za co natychmiast dostał od Izy szturchańca, a ode mnie prztyczka w nos. Roześmialiśmy się wszyscy. Od lat wiedziałam, że są parą i nie było mi w głowie tego niszczyć. Tak, jak nigdy nie przyłożyłabym ręki do skłócenia Piotra z Marzeną, drugiej pary, z którą spędzałam wakacje.

Naładowani pozytywnymi myślami i wyśmienitym humorem, ruszyliśmy na podbój wieczoru.

Droga z Brzeźna do Jelitkowa to około czterokilometrowy deptak z piękną, nowiutką kostką brukową, a nie kocimi łbami, jak na wąskich brzeźnieńskich uliczkach. Nie musiałam się więc martwić o ewentualne nadwyrężenie kostki. Jedynym niebezpieczeństwem były jeżdżące rowery, bo miejscami wyznaczona dla nich ścieżka znikła, zapomniana przez architekta lub wykonawcę drogi...

Zatrzymywaliśmy się czasem przy różnokolorowych kramikach, oferujących pamiątki znad morza. A to czapki marynarskie, a to miniaturowe latarnie morskie na gipsowych podstawkach obsypanych muszelkami, fikuśne buteleczki z piaskiem z Bałtyku czy inne, w podobnym guście durnostojki. Kolonijne dzieci masowo oblegały stoiska, pragnąc zabrać do domów kupione za grosze, a jednak tak cenne pamiątki z wybrzeża. Może staną na półkach koło „Wyspy Skarbów” Stevensona czy „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej podróży” Verne'a. Może po latach przypomną o pierwszej kolonijnej miłości, a może przepadną na zawsze przy najbliższych świątecznych porządkach. Kto wie, jaki los je czeka...

Szliśmy na zachód, pod słońce, które wciąż jeszcze dość mocno grzało, choć zbliżała się już ósma. Złote loki dziewcząt i nasze roześmiane twarze przyciągały łakome spojrzenia mężczyzn. Wszystkie trzy śmiałyśmy się z tego, nie przeszkadzało zainteresowanie męskiej części społeczeństwa, a wręcz przeciwnie: uskrzydlało, dodawało pewności siebie i dobrego nastroju. Tylko Piotr z Marcinem jakoś dziwnie rzucali gromami z błyszczących oczu.

Po półtoragodzinnym spacerze dotarliśmy w końcu do „Klipera”, niewielkiej tawerny usytuowanej bezpośrednio na plaży. Wejście, udekorowane morskimi atrybutami: kołem sterowym, zardzewiałą kotwicą i okrętowymi linami, wiodło przez obszerny taras do kameralnego wnętrza. Większość letnich imprez odbywała się właśnie na tarasie, więc wewnątrz było dość niepozorne, niewielkie, choć bardzo przytulne. Długi bar z zapasami wybornych i tych mniej ciekawych światowych marek trunków oraz olbrzymia beczka piwa, kusiły różnorodnością. Jednak wszyscy mieliśmy świadomość, że mieszać nie wolno. Zdecydowaliśmy się na lokalny, gdański wyrób gorzelniany: piwo „Hevelius”. Zajęliśmy ostatni wolny stolik, tuż przy miejscu przygotowanym dla kapeli i powoli sącząc zimny napój, oczekiwaliśmy występu szantowców.

- Ale przystojniak! - pisnęła Iza, wskazując brodą na wchodzącego na drewniany podest pierwszego z muzyków. Podążyłam za jej wzrokiem i niemal się nie zakrztusiłam. To był spotkany rano mężczyzna, którego odejście bez słowa troszkę szturchnęło moją kobiecą dumą. Zaczęłam kasłać piwem, podnosząc do góry obie ręce. Zaciekawiony zamieszanym przy najbliższym stoliku, spojrzał w naszą stronę, jednak nie zdradził się choćby nikłym uśmiechem, że mnie poznaje.

- *I dobrze* – pomyślałam – *rano nie wyglądałam najlepiej, teraz to co innego. Tylko znów się publicznie wygłupiłam* – skarciłam się szybko. Chwyciłam za leżącą na stole ulotkę dotyczącą mającej wystąpić grupy i, zerkając na gitarę muzyka, zaczęłam się zastanawiać co to za rodzaj instrumentu.

- To gitara basowa, prowadząca czy jaka? - infantylnie zapytałam siedzącego obok mnie Piotra. Nie znałam się na instrumentach, z muzyką też niewiele miałam do czynienia. Śpiewać nie potrafiłam, fałszowałam okropnie, ale nie przeszkadzało mi to jednak we wspólnym wydzieraniu się na plaży czy przy ognisku.

- To akustyczna – zawyrokował Piotr, który zupełnie nie zdawał sobie sprawy z toczącej się wokół niemej rozgrywki.

- *Dobry wieczór, Michale* – szepnęłam raczej, niż pomyślałam, wycytując imię muzyka z kolorowej ulotki. - *Mam cię!* - Byłam o krok do przodu we wzajemnej prezentacji. Postanowiłam ignorować bliskość sceny i solennie sobie obiecywałam, że nie podejść do niego i nie zapytam: „Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się rano w Brzeźnie”. Jednak alkohol rozwiązuje języki i dodaje odwagi w zawieraniu nowych znajomości. Tego się obawiając, nieprzyzwyczajona do większych dawek napitków, wiedziałam, jak może się to skończyć. - *Muszę coś zjeść, żeby nie zasumiało mi w głowie.*

- Może teraz coś zamówimy, żeby potem nie opuścić występu? - zapytałam niewinnie.

- Ty to masz głowę na karku – podchwyciła Marzena. - Pójdę i wezmę flądry z frytkami. Słyszałam, że ktoś chwalił – powiedziała, wstając.

- *Ja i głowa na karku!* - zaśmiałam się w duchu. Nie zdradziłam jeszcze przed przyjaciółkami emocji rozgrywających się we mnie, ani - tym bardziej – porannego spotkania. Po co wzbudzać w nich nadzieję na znalezienie mi mężczyzny życia? Już dawno przestały umawiać mnie na randki w ciemno. Przyzwyczaiłam się do samotności i było mi z tym dobrze. No, czasami tylko doskwierało...

Występ rozpoczął się koncertowo, z głośnym uderzeniem w struny, wesołą harmonijką i nieco ochrypłym głosem wokalisty. Od razu pożałowaliśmy tak usytuowanego stolika, bo niby blisko do występujących, ale za to hałas z wystawionych tuż przed nami kolumn zagłuszał nie tylko rozmowę, ale i myśli nawet...

Jednak zabawa rozkręcała się na dobre. Wszyscy widzowie głośno śpiewali, nie szczędząc dłoni do klaskania czy wybijania o drewniane blaty stołów rytmu piosenek. Dałam ponieść się klimatowi morskich opowieści, czasem nawet roniąc łzę przy smętnych, przepełnionych tęsknotą, marynarskich balladach. Rzewność niektórych tekstów naprawdę mnie rozczulała, powodując gęsią skórę na ramionach, a kładące się do snu wieczorne słońce robiło resztę. Zauroczona patrzyłam na szczupłe palce Michała, wdzięcznie przesuwające się po strunach gitary. Nie podjęłam jednak żadnych kroków do bliższego poznania. Zawładnęła mną li tylko muzyka; przepełniała duszę i ciało, nie zostawiając miejsca na przyziemne uczucia. Raz tylko uchwyciłam jego wzrok ze smutkiem w brązowych oczach. Patrzył na mnie, a jakby przeze mnie, gdzieś w przestrzeń. Spojrzał na wokalistę i kiwnął głową, ponownie spoglądając w moją, wydawałoby się, stronę. Powiodłam oczyma za jego wzrokiem. Słońce powoli zniknęło za horyzontem. Wokalista skończył piosenkę, ogłaszając krótką przerwę na... obejrzenie zachodu słońca. Jak na rozkaz wszystkie twarze obróciły się w tamtą stronę. Z kieszeni, torebek i innych ukrytych miejsc wypełzły aparaty fotograficzne i komórki, klikając co chwila cyber - dźwiękami.

- *Maniak słoneczny, jak ja?* - zmrużywszy oczy, przyglądałam się Michałowi. Skinął głową w ledwie zauważalnym ruchu, jakby w odpowiedzi na nie wyartykułowane jeszcze głośno pytanie.

*Cóż Ci oddam za tę poufalość,
którą w dziecięcym spojrzeniu
nawiazujesz, a kończysz chwałą
nieosmuconą w odcieniu -*

Zrobiło mi się gorąco. - *A więc jednak coś jest na rzeczy. Czy to tylko moja wyobraźnia?* - Wstałam energicznie od stolika i poszłam z innymi podziwiać ten codzienny, a jednak zawsze wspaniały cud natury. Staliśmy całą piątką, objęci ramionami i zapatrzeni w zachodzącą, rozpaloną tarczę. Ktoś z boku głośno odliczał sekundy do całkowitego zniknięcia słońca, ktoś nawoływał rozbiegane dzieci, jednak wszystkie serca i nieco rozchwiane już kroki tawernianego tłumu kierowały się ku zachodowi.

Zniknął mi sprzed oczu widok plaży. Wróciły wspomnienia.

Doskonale pamiętam uczucia, które towarzyszyły wyjmowaniu ze skrzynki pocztowej ostatniej przesyłki od ojca. Rozemocjonowanymi niecierpliwością dłońmi nie mogłam przekrócić małego kluczyka w zamku, a tam czekała na mnie nowa widokówka. Przez niewielkie szczeliny aluminiowego pudełka widziałam żółto - czerwone, tak ukochane barwy słońca. Wreszcie dosięgnęłam długo oczekiwanej kartki. Wielka słoneczna tarcza złociła dwie kopuły i kilka minaretów świątyni siódmego i dziewiątego Imama Iraku. Ojciec pracował tam na budowie już ponad rok, pisał: „Wracam za dwa tygodnie. Całuję. Wasz R.”. Nie wrócił nigdy, zginął w przypadkowym wypadku na ruchliwych ulicach Bagdadu.

Zamknęłam oczy. - *To było tak dawno, nie wolno mi teraz płakać* – zacisnęłam zęby i powoli wróciłam do stolika. Michał zniknął z myśli przywołanymi wspomnieniami. Sięgnęłam po piwo, nie dopuszczając więcej do głosu smutnej przeszłości. Nie byłam egoistką, nie chciałam zepsuć przyjaciołom tak świetnego wieczoru.

Po krótkim oczekiwaniu grupa znów uderzyła w struny, wyzwalając kolejne salwy śmiechu, gromkich braw i coraz bardziej podпиты głosów. Marcin z Piotrem, w pierwszym rzędzie, swoimi barytonami wspomagali jak mogli ochryplego wokalistę, a ja z dziewczynami w regularnym chórkowi żeńskim wtórowałam w refrenach. Noc była piękna! Humory dopisywały coraz bardziej, aż nadeszła ochota na to, co niedozwolone: kąpiel w nocy, po pijaku. Nie pamiętam, kto pierwszy na to wpadł; może Marcin, bo był już nieźle podchmielony pomimo pochłoniętej olbrzymiej porcji frytek, może ja, żeby oczyścić ciało i lekko szemrzący nocnym przypływem umysł... Faktem jest, że porzuciliśmy rozśpiewany i roztańczony miejscami podest tawerny i odbiegliśmy kilkadziesiąt metrów w głąb ciemniejącej plaży. Gwiazdy coraz mocniej świeciły, a łysy odbijał się księżycowo w lekkich falach przypływu. Bezwstydnie zrzuciliśmy ubrania na chłodny już piasek i biegiem wdarliśmy się w ramiona przybijających do brzegu fal. Ach, co to była za kąpiel! Bez ograniczeń, bez zahamowań, z całą radością młodego ciała, wolną duszą i oddaniem naturze. Czułam jedność z morzem, wrytym pływami, ukształtowanym we wzgórki i doliny twardym, choć piaszczystym dnem, z ocierającymi się o ramiona, przezroczystymi meduzami. Leżałam na plecach, poddając się falom, ich leniwemu kołysaniu, uwodzeniu, czując każdą cząstką skóry potęgę morza i jego tłamszoną brakiem wiatru moc. Chciałam tak ciągle, jednak powolutku wracająca trzeźwość umysłu nie pozwalała na lekkomyślne zachowanie. Znałam morze. Wiedziałam, że fala w kilka minut może znieść mnie o wiele metrów od miejsca startu. Podniosłam głowę ponad szemrzące fale, ale nie dobiegały mnie już nawet dźwięki z „Klipera”, a jego światełka blado lśniły w oddali. Zaczęłam miarowo ciąć ramionami wodę i stopniowo przybliżałam się do żarzącego czerwienią neonu tawerny. Na brzegu stała obrażona Iza.

- Czy ty oszalała?! - krzyknęła, podając mi sukienkę. - Wszyscy już dawno wrócili! Tylko ja, jak patyk

tu sterczę! Nawet impreza się skończyła! - Obróciła się na pięcie i odeszła w kierunku tawerny, grzęznąc po kostki w zimnym piachu.

Zostałam sama na środku nocnej plaży. Wyżełam mokre włosy i z trudem włożyłam sukienkę. Iza miała rację, za długo oddawałam się morskim, otumaniającym igraszkom. Objęłam dłońmi chłodne ramiona i usiadłam na kępie trawy, tuż przy wydmach. Włosy leniwie oddawały ostatnie krople słonej wody na rozgrzane opalenizną i pływaniem plecy.

- *Trochę sobie posiedzę, zanim do nich wrócę* – pomyślałam i zapatrzyłam się w Wielką Niedźwiedzicę. - *Dziś noc spadających gwiazd. Może jakaś przyniesie mi szczęście?...*

Nie wiem, ile czasu tak siedziałam zapatrzona w gwiazdy i ogromny księżyc. W pewnym momencie ktoś dotknął mojej dłoni.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście – odparłam zgodnie z prawdą. Głos jednak wydawał się znajomy, więc przekrzywiłam głowę, żeby przyjrzeć się rozmówcy. W nocnym, księżycowym świetle zobaczyłam smutne oczy Michała. Nieco zaskoczona, zapytałam:

- Co tu robisz o tej porze? - Co prawda nie miałam pojęcia, która może być godzina, ale ich występ dawno się przecież skończył.

- Jestem Strażnikiem plaży – powiedział. - Pilnuję zagubionych duszyczek, takich jak ty.

- Nie jestem zagubiona – odparłam natychmiast.

- Trochę jesteś. - Usiadł obok i przygarnął mnie ramieniem. - Trochę jesteś, widziałem to już rano i podczas koncertu. Później gdzieś mi zniknąłeś, ale cię znalazłem.

*Cóż Ci oddam za tę bezbronność,
która nie skąpi mi dnia
przecież Ci, Panie, nie wolno
ufać takiemu jak ja.*

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Głos ugrzązł mi w gardle. Milczeliśmy razem, a ta cisza nie była zła. Wypełniała nas doszczętnie, wypowiadała niewypowiedziane, nie do końca pomyślane nawet. Jakbyśmy byli jednością bez niedomówień, bez obietnic, bez niepotrzebnych przyrzeczeń. Jakbyśmy chłonęli wzajemne historie przez szum wiatru, gwiazdy, skrzypiący pod stopami piasek i falujące morze. Tu i teraz. Połączeni słońcem, czekaliśmy świtu.

- Michał jestem – odezwał się z pierwszym, różowym promieniem.

- Joanna - wyciągnęłam dłoń.

- Więcej nie będę cię szukał – spojrzał groźnie.

- Więcej się nie zgubię – obiecałam.

*Jakże odwdzięczę się morzu, że fale jego ciche
wychodzą, aby szukać moich codziennych zabłąkań?
Jakże odwdzięczę się słońcu, że zachód mnie nie odpycha,
że wieczór i poranek niedługa dzieli rozłąką?*

W tekście wykorzystano „Pieśń o słońcu niewyczerpanym”
słowa: Karol Wojtyła

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

zajacanka, dodano 19.08.2012 13:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.